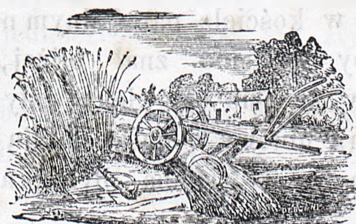
Tom I. 1. Maja 1870. Nr. 13.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wilk w baraniej skórze.

Powiastka

Jana Kantego Gregorowicza.

We wsi Świątniki pod Sandomierzem, darowanej jeszcze włościanom przez bogobojną królowę Jadwigę, co to przez małżeństwo z księciem Litewskim Władysławem Jagiełłą przyłączyła do Polski całą Litwę pogańską i oświeciła ją chrześcjańską wiarą, mieszkał przed laty Mateusz Ziemba, jeden z najzamożniejszych gospodarzy. Doszedł on do mienia swego pracą, zabiegiem i oszczędnością, ale nie zawsze używał do tego uczciwych środków i powiadano, że na każdym zebranym przez niego groszu błyszczy łza ludzka co go zniszczy i strawi.

Na mowę tę Ziemba potrząsał tylko głową i uśmiechał się, ale nie brał jej do serca i zawsze odpowiadał:

— Zazdrość ludzka i nic więcej. Cóż to, czy ja to kradnę, czy podstępnie co komu zabieram?

Prawda, że Ziemba pod tym względem był bez zarzutu, o kradzież albo podstęp nie można go było oskarzać, ale lubił niezmiernie pożyczać na procenta i wtenczas darł z biednego bez miłosierdzia. Był jednak niezmiernie nabożny, chodził zawsze ze schyloną głową, odmawiał pacierze, bił się

w piersi, przed swiętemi figurami przyklękał, a żadnego nie ominął swięta, żeby w kościele parafjalnym nie wysłuchał całego nabożeństwa. Ktoby go nie znał bliżej, sądziłby że to najmiłosierniejszy w świecie człowiek, cały przejęty miłością ludzi i dla ich dobra gotowy oddać ostatnią z siebie koszulę. Tak jednak nie było, i Ziemba był prawdziwym wilkiem w baraniej skórze.

Jednego dnia w żniwa, kiedy cała prawie wieś znajdowała się w polu u roboty, Mateusz pozostał we wsi i pozamykawszy drzwi na zasuwy, wszedł do komory.

Przez całą jej długość na żerdziach znajdowały się pozawieszane różne ubrania włościańskie, kapoty, kożuchy, sukmany, w kącie stały siekiery a w pudle drewnianem mieściły się sznury korali różnej wielkości. Były to wszystko zastawy za udzieloną pożyczkę, z których większa część już miała być nie wykupionią. Ziemba przejrzawszy wszystko szepnął:

— Trzeba to będzie posprzedawać, bo tylko ze stratą moją niszczeje.

Potem zasunął okienko, rozniecił ogień i zapaliwszy małą groszową świeczkę, zepchnął wielką beczkę w rogu stojącą, odsunął duży płaski kamień pod nią znajdujący się, potem wyjął kilka cegieł ziemią okrytych i cichaczem jak kot odemknął drewnianą skrzynię. Pełna była srebrnych rubli. Ziemba dotknął się ich kościstemi palcami i na dźwięk, jaki wydały, zadrżał i obejrzał się jakby bał się podpatrzenia.

— Ślicznie brzęczą; — szepnął do siebie — gdyby dowiedziano się, gdzie je mam w schowaniu...

I znowu obejrzał się podejrzliwie a oczy zaiskrzyły mu się jak u gadziny.

— Wszystko to moja praca, mój zabieg — mówił do siebie — Ludzie zazdroszczą, nazywają mnie derusem, ale każdemu wolna wola brać albo nie brać. Ja nikogo nie przymuszam, czasem wymawiam się, a że pragnę korzyści, to któż ją odrzuca? Dał mi Bóg jednego syna, dla niego to wszystko, a gdy dorośnie, kupię mu folwarek i zostanie Ziembickim. Ludzie będą go wielmożnować, bo przed bogaczem każdy chyli głowę.

W tej chwili na podwórzu ozwały się głosy jakieś nawołujące go po imieniu i jednocześnie dało się słyszeć silne w drzwi kołatanie.

— Co to znaczy? — szepnął z wielką trwogą. — Czybym drzwi wchodowych nie zamknął?

Przelękniony, ustawił napowrót beczkę, odsunął zasuwę z okna, zgasił świecę i wszedł do izby. Na podwórzu przed oknem zobaczył jednego ze swoich sąsiadów i biedną wdowę komornicę.

— Pewno przyszli z prośbą o pożyczkę, pomyślał sobie w duszy i zapytał głośno:

— A kto tam taki?

— Otwórzcie Mateuszu — odezwał się sąsiad Józef — takeście się zamknęli jak w jakiej fortecy, a zapomnieliście drzwi od drogi zasunąć.

— Bodaj ci się język zasunął! — szepnął Mateusz i wpuścił nowo przybyłych.

— Przyszłam tu do was z wielką prośbą, — odezwała się pierwsza Walkowa, biedna wdowa, żyjąca tylko z wyrobku

— Mówcie, mówcie — odrzekł Mateusz z takim układem łagodnym, jakby anioł przez jego usta przemawiał — wiecie dobrze, jak ja dla waszego wdowieństwa jestem litościwy.

Walkowa westchnęła, bo znała twardość jego serca i odrzekła:

— Już to co prawda, litości dla mnie nie macie do zbytku, ale niech tam prawda przy was będzie.

— A cóż to, czy ja kiedy fałszywie mówię?

— Różnie się zdarza mój Mateu...

Walkowa nie domówiła, bo ją trącił Józef, ale tak niezręcznie, że Mateusz dostrzegł to i uśmiechając się rzekł:

— Pewno macie ochotę wyzyskać co ze mnie, bo się przestrzegacie w mowie, ale to na nic się nie przyda. Z biednego trudno zysk wyciągnąć.

— Ej! co wy też gadacie — odezwała się Walkowa i choć ją Józef trącał a nawet ciągnął za spodnicę, ona mówiła dalej — przecież ludzie wiedzą dobrze, że u was więcej rubli srebrnych jak u mnie włosów na głowie. Nie zazdroszczę wam tego, niech Bóg broni, ale dla biednego powinniście mieć wyrozumienie.

Mateuszowi stanęły oczy kołem, pobladł, potem zczerwieniał i ściskając pięście zawołał z największą gwałtownością:

— Kto wam mówił o rublach moich? kto je widział? Że nie pożyczam, że mam grosz na wszystko co potrzeba, to zaraz mnie ogłaszacie bogaczem? Ruszajcie sobie z mojej chudoby, bo jak wezmę kija...

— Hola! hola! — przerwał Józef — z kijem nie wojujcie bo ma dwa końce...

— A ty obszarpańcze! — zawoła Mateusz tracąc wszelką przytomność i chwytając Józefa za gardło — ty mnie tu będziesz groził, w moim własnym domu...

Józef człowiek silny, strząsnął się oderwał rękę od szyi i popchnąwszy Ziembę tak mocno, że ten aż padł na łóżko, zawołał:

— Wara ci derusie od mojego gardła! Czyś oszalał, czy co? Czy masz czy nie masz pieniądze, to mi wszystko jedno, ale krzywdzić się nie pozwolę!

— Czegóż więc odemnie chcecie? — zapytał Mateusz i pomiarkowawszy, że takiem uniesieniem prawie wydał się z pieniądzmi, nagle wyjaśnił twarz i dodał z najwi kszą łagodnością: Czy to się godzi Józefie tak starego poniewierać? Przecież dla wiekowych ludzi, zawsze każdy ma poszanowanie...

— Przebaczcie — przerwał Józef a Walkowa dodała: — to prawda starszych wszędzie szanują, mego nieboszczyka tatusia to pan z Bilczy zawsze sadzał przy sobie i winem częstował.

— A widzicie, a wy jakeście się ze mną obeszli?

— Toż was proszę o przebaczenie — szepnął zawstydzony Józef, a Walkowa mówiła dalej:

— Kiedy raz mego tatusia kowal w Bilczy popchnął, że aż tatuś zadarli nogi do góry, to pan z Bilczy powiedział mu, że na starszego podnosi rękę tylko ostatni nicpoń, hultaj, łotr i szubienicznik.

— Tak, tak — potwierdził Mateusz uszczęśliwiony niespodziewaną obroną — widzicie Józefie co to starszy znaczy?

— No ja wiem — mruknął Józef — przecież nie jestem maluśkie dziecko, ale wy Walkowa zamiast mnie bronić, to bijecie na mnie bez pamięci. Przecież przyszedłem w waszej sprawie...

— To trudno, za posługę wam Bóg zapłać, a co prawda to prawda.

— Kiedy ja już taki ostatni, to sami sobie wojujcie językiem a ja zejdę wam z oczu.

— A bójcie się Boga — zawołała przestraszona Walkowa chwytając Józefa za połę — nie odstępujcie mnie, bo z Mateuszem nie dam sobie rady.

— A cóż to we mnie tak strasznego? — zapytał Mateusz, czy to mam na sobie sierść jak zwierzę jakie?

— Ej! sierści tam nie macie — odrzekła Walkowa dobrodusznie wzdychając — i Boga chwalić wyglądacie jak człowiek, ale ludzie powiadają, że jesteście wilkiem w baraniej skórze.

Mateusz oniemiał a Józef spluwając zawołał:

— A toście sobie naprawili sprawę, i tak wyszykowaliście interes, że już lepiej nie trzeba. Język u was to jak pytel w młynie.

— Ha! jaki mam to trudno, ale i wam nienajgorzej lata.

Józef machnął ręką a Mateusz nachylając z pokorą głowę rzekł z czułością:

— Chrystus Pan więcej cierpiał a odpuścił swoim prześladowcom, to i ja ludziom odpuszczam różne na mnie wymyślone szkalunki.

— Oj! prawda, prawda, — ze wzdychaniem odezwała się Walkowa — U was mowa jakby u ojca duchownego tylko wam z oczów źle patrzy.

— I czegóż chcecie odemnie, że mi tak ciągle przypochlebiacie się? — zapytał Mateusz z szyderstwem.

— A to przyszłam do was po dwoistym interesie...

— Oj! — mruknął Mateusz.

— Żebyście mi użyczyli miarki żyta na odrobek w żniwa, i żebyście mi sukmankę wydali z zastawu dla Połusi. Na św. Annę wypada odpust w Obrazowie, radabym też żeby dziewucha schludnie między ludźmi wyglądała.

— Tylko tyle chcecie odemnie? — zapytał Mateusz i aż mu się zatrzęsły wargi z rozgniewania.

— Tylko tyle. Dziś ostatni bochenek chleba napoczęłam, a sukmankę zaraz wam po odpuście odniosę.

— To sobie idźcie z Bogiem jakeście przyszli. Żyta nie mam, więc nie dam, a sukmanki także nie wydam, bo nie chcę żeby wasza Połusia przyuczała się zalotności. To tylko obraza Boska, do kościoła idzie się dla modlitwy nie dla przystroju.

— I ja to samo mówiłam, ale z dziewuchą cóż poradzi?

— Jeżeli wam idzie o pewność — odezwał się Józef, to ja poręczę, że wam sukmankę Walkowa odniesie.

— To lepiej zapłaćcie, co wypada.

— Kiedy teraz nie jestem przy groszu...

— To możecie dać zastaw. Wasza kobieta ma piękne korale, widziałem je.

— A cóż to, czy mego poręczenia za nic ważycie? — zapytał Józef. Mateusz pokiwał głową a Walkowa widząc że milczy, rzekła:

— Ej! poręczeniem waszym Mateusz nie gardzą, tylko ich ciągnie ochota do korali waszej kobiety.

— A was do mego żyta! — wrzasnął Mateusz — Idźcie sobie z Bogiem, bo ja nie czasowy.

Walkowa jeszcze coś dowodziła, Józef prosił, ale Mateusz zatkał uszy i poszedł do stodoły.

Zaledwie jednak Józef z Walkową odeszli, drzwi znowu skrzypnęły i weszło na podwórze dwóch włościan. Był to Jan z Maciejem także sąsiedzi Mateusza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwali się razem.

— Na wieki wieków amen! — z pokorą odrzekł Mateusz — a cóż to was prowadzi do mnie kochani sąsiedzi?

— Najprzód dajcie kieliszka — odezwał się Jan wyjmując flaszkę z wódką z kieszeni. Mateusz przełknął i błysnął spojrzeniem na taką smaczną łakotkę, a gdy zobaczył że Maciej kładzie na stole kiełbasę i kawał chleba, aż się uśmiechnął i poprawił pasa. Nad częstunkiem nie długo się zabawiano, Mateusz popijał i zajadał choć nie bardzo był głodny, że aż mu się uszy trzęsły. Kiedy się nieskąpo posilił, zapytał wreszcie swych gości, w jakim przyszli do niego interesie?

— Z frasunku, — odrzekł Jan — nie mamy chleba ani pieniędzy na podatek więc chcemy was prosić, abyście nas zapomogli a z nowego oddamy.

— Ja biedny jestem, ale dla miłości Pana Boga, dla sąsiedzkiej uczynności na co stać mnie będzie to się wzmogę i użyczę. Wieleż wam tego potrzeba?

— Po korcyku żyta i po rublu na podatek — odrzekli, a Mateusz pokiwał głową i zobaczywszy jeszcze wódkę we flaszce odrzekł:

— Za wiele to na mnie biedaka, i choć mam żyto ale chciałem za nie kupić krowę. Mam także dwa ruble ale to na buty dla chłopca. Jeżeli wam pożyczę, to nie będę miał mleka a na buty zapożyczę się u szynkarza, ale on bez prowizyi nie daje.

— To i my zapłacimy prowizyę, tylko miejcie Boga w sercu.

— Mam Boga w sercu moi kochani sąsiedzi i dla tego za korczyk żyta oddacie mi z nowego tylko pięć ćwiartek, a od rubla dacie mi piątkę na tydzień prowizyi.

— Choć to ciężko, ale niech i tak będzie, byle dziś zaraz.

— Tego nie mogę wam przyrzec. Muszę pomiarkować dobrze wszystko wyrachować...

— To już wam dam – odezwał się Jan — pół kopy główek kapusty...

— Lepiej całą bo to składniej.

— Niechże będzie cała kopa.

— A wy Macieju dacie mi kitek lnu, parę mendelków, bo wam się udał na dziwowisko.

— Dam mendel — odrzekł Maciej z westchnieniem

— I gąskę — dołożył Mateusz — macie ich dwadzieścia, to co wam po tylu szkodnikach?

— Niechże będzie i gąska.

— Ale sam sobie wybiorę.

— A wybierzcie sobie jaką się wam podoba, wszystkie one jednakie.

— Oj! nie mój kochany sąsiedzie. Siodłate wszystkie cięższe, miałem je w ręku. Maciej miał ochotę złajać dobrze,

chciwca za ten przegląd swojej pracy, ale był rozważniejszy niż Walkowa, więc tylko westchnął i rzekł:

— Przynieśliśmy worki z sobą, to może byście namierzyli.

— Tak nagle... żony nie ma w domu.

— Czy jeszcze chcecie jakiej przykładki na prowizyę? zapytał Maciej niecierpliwie.

— Na prowizyę? Niech Bóg broni — odrzekł Mateusz podnosząc ramiona — ale... i podrapał się w głowę.

— Więc cóż jeszcze chcecie z nas wyciągnąć?

— Wy Macieju zawsze macie swoje żarty — odrzekł z wesołością Mateusz — ale żebyście poznali moją dla siebie życzliwość, więc dacie mi jeszcze po dwie ćwierci ziemniaków, a już więcej nie rzeknę wam słowa.

— Niechże będzie jak chcecie, tylko więcej nie bałamućcie.

— Więc pokażcie fanty.

— Jakie fanty?

— Kożuchy, korale albo co innego.

— Cóż to? Czy my nie gospodarze, czy co? Nie pierwszy raz bierzemy od was zapomogę, a nie mieliście z nami nigdy najmniejszego zmartwienia i wierzyliście nam bez fantów.

— Tak było, ale jak z Fabianem chodziliśmy aż do wójta, tak wyprzysiągłem się bez fantu pożyczać. Ja bym rad dogodność wam zrobić .. ale... — Mateusz przełknął a Jan spytał porywczo:

— Więc co jeszcze chcecie z nas skorzystać, mówcie bez ogródki.

— Wy Janie to w gorącej wodzie kąpany. Najświętsza Panienka patrzy w moje serce, niech mnie sądzi czy ludzi wyzyskuję.

— Dobrze to wszystko, ale czego się jeszcze domagacie od nas? — zapytał Jan ledwo hamując oburzenie.

— Fraszki moi sąsiedzi, fraszki — odrzekł pokornie Mateusz i wzdychając nabożnie mówił dalej: — Znacie moje nabożeństwo do Naj. Panny Częstochowskiej i do mego patrona św. Mateusza; otóż ślubowałem święcie na ołtarz; dacie mi więc po krążku wosku i po kwarcie miodu, bo u was to się zmarnuje...

— A miód wam na co? przerwali włościanie, ale Mateusz udał że zapytania tego nie dosłyszał i mówił dalej przewracając oczy niby z wielkiego nabożeństwa:

— Niechże ta królowa nasza dla swojej większej chwały ma ozdobę nową w ołtarzu: niechże święty Patron mój, męczennik, rozlewa światło wiary i oświeca nasze zatwardziałe serca, za Twojem wstawieniem się Matko Boża, którą czczę ustami i sercem, mówiąc z pokorą: Zdrowaś Maryja...

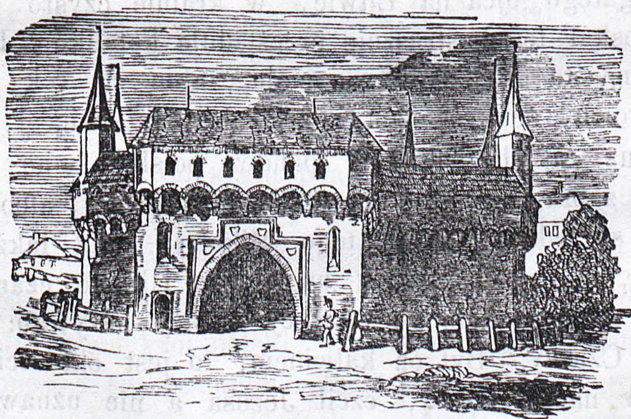
I przy tych słowach Mateusz zdjął czapkę i nachylony odmawiał półszeptem pacierz. (Dokończenie nastąpi.)

KRAKOWIAK.

O Floryańskiej bramie.

Słynie Kraków słynie, jak Polska szeroka,
Bo też pełen skarbów dla serca i oka;
Dla oka tak miły, dla serca tak drogi,
Żebym z czcią całował stare jego progi.

U progu tej świętej pamiątek skarbnicy
Floryańska brama, co ma kształt wieżycy:
Posępna, ponura snać marzy o latach,
Gdy u wrót jej stawał nieraz król w szkarłatach.



Przed laty bywało, gdy z dzielnej wyprawy
Wśród tłumów natłoku — z rozgłosem swej sławy,
Z hetmanem na czele polska młódź wracała,
Floryańska brama pierwsza ją witała.

Szumi wiatr w około, o mury się łamie,
Tak wieki mijają przy Floryańskiej bramie!
Przy Floryańskiej bramie wieki przeleciały,
Możeż do niej jeszcze wrócą czasy chwały.

Franek z nad Lipy.

Mikołaj Radziwiłł

pobożny pan polski.

We wsi Zapłocie kilku gazdów jest tak ciekawych, że schodzą się co dzień wieczorami raz do jednego, drugi raz do drugiego, i tam po robocie czytają sobie różne książki i gazety, a na końcu rozmawiają sobie o tem, co czytali. A jak przyjdzie święto jakie, to po nabożeństwie czytają sobie Dzwonek i inne książki ciekawe, jakie są w szkole wiejskiej. Jest tam w ich szkole dużo różnych książek, zamkniętych w osobnej szafie, od której ma klucz ksiądz sam. Otóż jest tam taka stara książka, która ma napis taki: „Pielgrzymka do świętej Ziemi, którą odbył Mikołaj Radziwiłł i opisał ją sam.“

Tę książkę starą i ciekawą czytał już niejeden, czytali ją i ci gazdowie, pamiętali sobie to wszystko, co tam stoi drukowane, ale jednej rzeczy nie wiedzieli dobrze, kto to był ten Mikołaj Radziwiłł, który się podpisał na tej książce? Rada w radę i poszli z książką do księdza. Ksiądz tak im opowiadał: Jak żył ten pan polski to już 300 lat okładem. Miał on bardzo bogatego ojca na Litwie, w krainie czysto polskiej, gdzieto Moskal teraz strasznie prześladuje katolików Polaków.

Rodzina ta Radziwiłłów miała takie co rok dochody z dóbr swoich, że król sam polski nie miał więcej, a dziś nie ma już takich bogatych panów polskich, bo Moskale zrabowali, zabrali i najgorszym ludziom rozdali, albo za psie pieniądze sprzedali. Ojciec tego Mikołaja miał także takie samo imię, a że miał włosy na głowie i brodę czarną i był czarniawej twarzy, zato go wszyscy Polacy nazywali: Mikołaj Radziwiłł Czarny. Był on kalwinem, to jest chrześcijaninem, wierzył w naukę boską, czcił Jezusa a nie uznawał Ojca św. nad sobą. Żona zaś jego Elżbieta była bardzo dobrą katoliczką i chowała dzieci tak samo. Otóż dał im Bóg tego syna na sam dzień Matki boskiej Anielskiej roku pańskiego 1549, a jak sami uważać teraz możecie, to temu już 300 lat z przyczynkiem dobrym. Był wtedy królem polskim Zygmunt August, ostatni z rodu Jagiellonów, którzyto króle byli wszyscy ojcami najlepszymi dla Polaków. Otóż raz poszli ojcowie na

zabawę z domu, a był tam i król także. Dziecko samo zostało w lipowej kołysce bo sługi także poszły przypatrzeć się zabawie; wtem dziecko obudziło się, zaczęło krzyczeć, aż król na to nadszedł, wziął je, utulił, uciszył, uspił, a że nie było ni żywej duszy przy niem, nazwał je sierotką, i od tego czasu nazwano w całej Polsce tego Mikołajka Sierotką. I my go też dziś jeszcze wspominamy jako Mikołaja Radziwiłła Sierotkę! Matka uczyła go sama pacierza i katechizmu tak, że stary ojciec ani wiedział o tem. Ojciec myślał, że syn jego zostanie także kalwinem, ale matka wyuczyła syna na dobrego katolika.

— A czy on niebył nigdzie w szkołach? zapytali gazdowie.

— Właśnie że był! mówił ksiądz, i to w Lipsku, gdzie to jak wiecie, dawny cesarz Francuzów Napoleon I stoczył straszną bitwę, która przez 3 dni trwała. Na tej wojnie był tam może i kto z naszej wsi, bo było tam dużo Polaków. Wtej szkole uczyli Niemcy; ale Mikołajek Sierotka miał dobrze w pamięci i sercu nauki od matki, i nie dał się przerobić ani na kusego Niemca ani przystał na inną wiarę, jeno w duszy pozostał dobrym Polakiem i katolikiem.

Gdy ojciec jego umarł, Mikołajek miał wtedy 18 lat dopiero, a był już na swoje lata młode tyle mądry, stateczny i pobożny, że mu urząd oddał cały majątek. Chciał też poznać świat i ludzi i wyjechał do kraju włoskiego, gdzie siedzi Ojciec św., potem do kraju Francuzów i Niemców, a gdy się przypatrzył dobrze światu, pomyślał sobie: „Nie ma tu co robić, trza wrócić do dom, do matki i na ojcowiznę, bo tam najlepiej“ i powrócił tak samo dobry, stateczny i mądry.

Gdy umarł król polski, Zygmunt August, ostatni z rodu Jagiellonów i bez potomka roku 1572, to Polacy wybrali sobie francuskiego królewicza Henryka za króla, i pojechali po niego aż do Paryża. Pojechał z nim także Mikołaj sierotka. Ale ten francuski królewicz nie bawił u nas, jeno trzy miesiące i uciekł do dom, bo mu brat umarł, a po bracie spadała na niego ojcowizna. Na to odezwali się gazdowie tak:

— Lepiej każdemu na swojem choć małem, niż na cudzem choć wielkie!

— To prawda! mówił ksiądz — dlatego też i Polacy nie bardzo stali o takiego króla, który uciekł z Krakowa, niedługo obrali sobie Batorego, bogatego pana aż z Węgier na króla i trafili bardzo dobrze. Był ten Batory królem co się zowie doskonałym, dbał o prawa każdego, dbał o szkoły, dbał, o dochody, dbał o wojsko, bali się go Turcy, Tatarzy, Niemcy i sami Moskale. Chciał on Moskalom dać nauczkę, wydał im wojnę, zbił porządnie i zabrał im miasta i kraje polskie, które oni niesprawiedliwie i z wielką krzywdą najechali i sobie przywłaszczyli. Na tej wojnie z Moskalami był i Mikołaj Sierotka i bił Moskala, jakto mówią, młotem kowala, bił tych niedowiarków, co się zawsze rzucali na Polaków i katolików i robili im tyle krzywdy, żeby tego nikt nie potrafił zrachować. Ale nie miał on dobrego zdrowia, dlatego zrobił sobie ślub taki, że pójdzie aż do Jerozolimy, gdzie jest Grób Boży i wszystkie pamiątki męki Pana Jezusa, aby tam zrobić ofiarę na chwałę Boga i uprosić sobie zdrowie i długie życie. Dwa razy wybrał się na tę pielgrzymkę i dwa razy wracał się z drogi, bo mu zdrowie nie służyło.

— No! zapytali gazdowie, to może i nie był tam?

— Był! — mówił ksiądz! Bo co kto Bogu przyrzeka dla swego zbawienia, powinien dopełnić bez odwłoczenia. Otoż taką mocną wolę miał Mikolaj Sierotka. Na trzeci raz wziął sobie na drogę księdza i 12 sług, nabrał w sakwy dukatów, szedł i jechał aż stanął w Rzymie przed Ojcem św., który go pobłogosławił na drogę. Ztąd wsiadł na okręt i morzem dojechał na brzegi ziemi świętej, a dalej szedł drogami różnemi aż do samego Grobu Bożego w Jerozolimie. Tu sprawił złoty kielich i złotą patynę, dał zakonnikom, co pilnują grobu Bożego, co rok po 100 dukatów na msze świętą a zaś aby się lampa dniem i nocą świeciła w Grobie Bożym, ofiarował na to 25 dukatów co rok. W Betleem, gdzie się narodził Pan Jezus, dał do kościoła znowu złoty kielich i patynę, zeszedł wszystkie cudowne miejsca, nabrał dużo relikwii św. i znowu na okręcie powrócił do Rzymu, a ztąd do Krakowa i do Częstochowy, gdzie zostawił na pamiątkę swój kij podróżny t. j. laskę pielgrzymską, ładnie utoczoną i z gałkami w środku

i w górze. Cała ta podróż trwała dwa lata całe. Co sam na własne oczy widział, to spisał i dał wydrukować książkę na pamiątkę i naukę Polakom, aby wiedzieli, jakie cudowne miejsca są w świętej ziemi, gdzie się narodził P. Jezus, gdzie się wychował, żył, nauczał, cuda robił a potem był umęczony dla zbawienia grzesznych ludzi. T. książka więc jego zowie się: Pielgrzymką t. j. pobożną podróżą do cudownych miejsc w świętej ziemi i ta to książka znajduje się w waszej bibliotece szkolnej. Ma ta książka przeszło 300 lat i była już nieraz przedrukowaną. A ktoby sobie życzył ją mieć może sobie sam kupić i czytać.

— A czy też wyzdrowiał potem i żył jeszcze długo? — pytali gazdowie.

— Kto o co Boga prosi i zasłuży sobie, mówił ksiądz, ten pewnie będzie miał. Po tej podróży był Mikołaj sierotka zdrów jak dąb, ożenił się z pobożną panią Elżbietą Wiśniowiecką, której ojciec był na Podolu bardzo bogatym panem i zasłużonym Polakiem. Ożeniwszy się, nie popróżnował ani dnia, a majątku swego nie sterał ale na dobre użył. Mieszkał on w Nieświeżu na Litwie, gdzie było gniazdo całej jego ojcowizny. Cała ta ojcowizna miała setki miast, miasteczek i drugie tyle wsi, i nazywała się ordynacyą Radziwiłłowską dlatego, że nie wolno było ją podzielić na części, a zawsze najstarszy syn dostawał ją całusieńką i spłacał młodszych braci i siostry. Dziś nie ma już tego, bo Moskale to pokasowali, porozdzierali, posprzedawali najgorszym jenerałom albo urzędnikom, a dziedziców wytracili albo na Sybir wysłali.

Mikołaj Radziwiłł wybudował kościół w Nieświeżu, wyrobił sobia u biskupa probostwo i podarował na to dwie wsie i sto morgów dobrego pola. Oprócz kościoła parafialnego fundował kościół z mieszkaniami dla księży Jezuitów. Ten kościół nazywał się kościołem Bożego Ciała. Przy budowie tego kościoła kopał sam Mikołaj Sierotka fundamenta, nosił rękami cegły i kamienie, podawał murarzom wapno, a żona jego i bracia pomagali mu także. Oprócz tego fundował dwa klasztory, a więc w samym Nieświeżu fundował cztery kościoły naraz. Po wsiach gdzie byli chłopi biedni fundował znowu pięć kościołów parafialnych.

A są to tylko ważniejsze jego ofiary. Jak się trafił jaki chłopak z dobrą głową do nauki, to dostawał od tego pana pieniądze na naukę tak długo, aż się wyuczył na co dobrego. Jak się znowu trafiła jaka biedna ale pobożna dziewka, to dostawała wiano od niego i szła za mąż. Gdzie były drogi kiep-

skie, to zwoływał ubogich w czasie przednowku, drogi robił, kazał strawy ciepłe gotować pod niebem i ratował krocie głodnych od śmierci i głodu. Gdzie było dużo wsi blisko, tam fundował miasta, zoprowadzał targi dla chłopów, aby miał każdy wygodę na sprzedaż lub kupno. A to wszystko robił na to, aby ubodzy mieli zarobek i nie byli pijakami, złodziejami, próżniakami i dziadami. Po tamte czasy napadali Tatarzy kraje polskie i nieraz tysiące Polaków brali w niewolę i męczyli w domu. Nie raz zabrali ojca od dzieci, albo ojcu ostatnie dziecię.— Na wykupno takich biedaków, składali się wszyscy, a do zbierania jałmużny na wykupienie takich niewolników byli osobni zakonnicy, którzy chodzili w kraju od domu do domu i zbierali, co kto dał, a za to wykupywali z niewoli tatarskiej niejedną duszę katolicką. Otóż i Mikołaj Sierotka wykupił niejednego biedaka z takiej niewoli, a kosztowało to nie mało. Po kościołach zaprowadzał z księżami bractwa miłosierne dla poratunku biednych staruszków, wielkich kalek, a na każdą niedzielę kazał napiec chleba, naładować pełne wozy, pod kościoły zawoził i sam ubogim rozdawał, dodając do chleba i pieniądze. Kilka razy do roku sprawiał obiady dla ubogich, którzy się całemi gromadami schodzili na nie. Książę sam usługiwał przy jedzeniu, a po obiedzie rozdawał chleb i pieniądze. Po różnych miejscach fundował szpitale, gdzie babki i dziadki mieli spokojny przytułek do śmierci, a na pogrzeb dostawali trumnę i śmiertelne ubranie. W każdy Wielki czwartek wybierał 12 najstarszych i pobożnych dziadków, mył im nogi, całował, dawał każdemu po 3 dukaty potem sprawiał Wieczerzę Pańską, gdzie sam razem z żoną i dziećmi służył dziadkom do stołu. Robił to na pamiątkę, bo Pan Jezus uczniom swoim nogi umywał w ten dzień.

Książę Radziwiłł żył 77 lat, przeżył aż trzech królów polskich, to jest: Zygmunta Augusta i Henryka, co był Francuzem i zwany Walezym, potem Batorego, który umarł w roku 1586 w sam dzień św. Łucji, a jeszcze mało co nie przeżył i czwartego króla Zygmunta III., bo chodziło tylko o 6 lat dłuższego życia, a byłby i tego czwartego króla pochował. A dał mu widać Bóg takie długie lata za jego pobożne życie i za jego dobre uczynki. Umarł on roku 1626 na drugi dzień po św. Macieju w swojej ojcowiznie w Nieświeżu i tam pochowany. Dziś jego grobu nie szanują Moskale.

Za życia nie lubił słuchać, jak go kto nazywał księciem choć był takim, ale mówił tak:

— Ja tylko robak u Boga taki, jak każdy człowiek! Ja bogaty na to, abym to na dobre obrócił za życia a po śmierci otrzymał zbawienie i dobre wspomnienie!

Przed śmiercią chorował dość długo, jak każdy na stare lata utyka i często zapada, ale w chorobie był spokojny, nie lękał się śmierci ani sądu bożego, bo żył zawsze pobożnie, modlił się i czekał wezwania przed sąd Boga. Gdy miał już umierać zwołał swoje dzieci, a było ich 6 synów i 3 córki, pobłogosławił ich, przykazał żyć w zgodzie, szanować i słuchać matkę, trzymać się zawsze Boga, nie przywiązywać się do marnego świata, a gdy dzieci strasznie płakały, powiedział im:

— Za mnie macie Boga za ojca, Tego kochajcie a będzie wam zawsze i wszędzie i na wieki dobrze! Ale was proszę moje dzieci, abyście mi sprawiły prosty pogrzeb, nie jako panu ale jak grzesznemu człowiekowi, abym leżał w prostej trumnie, a na cmentarz aby trumnę nieśli dziadki bez grania, strzelania i parady pańskiej. A w kościele na mszy św. aby stała moja trumna na prostych marach, jak stoi trumna każdego ubogiego. Pamiętajcie byście wypełnili moją prośbę i pochowali mię razem z ludem moim na jednym cmentarzu! I umarł po tej mowie.

Takimto dobrym i pobożnym panem polskim był na Litwie Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, a co on i jego potomki zrobili dobrego, to Moskale zatracili.

A wy, co to czytacie, módlcie się za braci swoich Litwinów, katowanych za ojcowiznę i św. wiarę naszą i pamiętajcie sobie, że Moskal był, jest i będzie katem dla każdego Polaka katolika, bo taka to już jego dzika, mongolska natura.

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Bajki ludowe.

I. Wybieg zajęczy.

Był u gospodarza wół, nazywał się Wojciech. Ten pewnego razu uzuchwaliwszy się, wyłamał się z jarzma i popędził przez pola, łąki, lasy — światami.

Bujał sobie swobodnie kędy chciał, nabrał ciała, wygładził się, zaokrąglił i aż sierść na nim połyskiwała.

Pewnego dnia zdybuje się z nim wilk, a zwał się Mikołaj. Rzecze wilk do wołu:

— Panie Wojciechu, skóra, która na was, nie wasza; ale moja.

— Żartujecie chyba, panie Mikołaju! tę skórę mam na sobie od urodzenia. Tak odrzekł wół, a wilk prawi:

— Gadacie, a skóra moja, i zdejmę ją z was.

— Nie stanie się to bez sądu, na świecie już nie ma dzisiaj gwałtu, żyjemy pod prawem. Odparł wół.

— Więc chodźmy się sądzić! — rzecze wilk.

Idą, idą i idą, aż się zdybali z liszką; tej było Maryanna. Wilk woła:

— Panno Maryanno! panno Maryanno! prosimy.

Zbliżyli się do siebie.

— Czem mogę służyć? — zapytała liszka.

— Oto, rzecze wilk, między mną a panem Wojciechem jest spór a to taki: Jeszcze jego ojcu dałem ładny grosz na tę skórę, która na nim; teraz on mi jej oddać nie chce. Ja nieprawdy nie mówię, co rzekę jest, jakby sto świadków zaprzysięgło.

Wół milczy. Panna Maryanna, rada z niego także jaką kość oblizać, rzecze tak: — Skoro pan Mikołaj twierdzi, że skóra jego, to nie ma żadnej wątpliwości. Oddajcie panie Wojciechu, co nie wasze, i skończył się spór.

— Kazałby mi kto — powie na to wół dość stanowczo, słuchać babskich sądów. Chodźmy dalej.

Idą obaj. Liszka, jak niepyszna, pozostała za nimi. Przydybują zająca i wół odezwie się do niego: Mości Zakrzewski, tak było po ojcu zającowi, między mną a panem Mikołajem jest spór taki a taki, bo panu Mikołajowi potrzeba sporu.

Rozpowiedział wszystko zającowi. Zając się ozwie:

— Mości panowie! świadków nie ma, więc potrzeba przysięgi. Jest tutaj niedaleko trybunalski (sądowy) stół, przed tym złożysz waszmość, panie Mikołaju przysięgę na to, co utrzymujesz. — Idą wszyscy, wół zadumany. Wnet doszli do trybunalskiego stołu.

— Przysięgaj waszmość za mną, ozwie się zając do wilka, a wymawiaj za mną każde słowo wyraźnie. — Zając mówił następujące słowa a wilk za nim: Ja... Mikołaj... przysięgam... że ta skóra... co... na... panu... Wojciechu... jest... moja... a... nie... pana... Wojciecha... Tak... niechaj... mnie... słońce... wspomaga... Potemu powie zając: uderz waszmość czołem o stół. Wilk uderzył a żelazo go złapało. Czekaj że teraz panie Mikołaju, aż przyjdzie gajowy i napisze ci kołem wyrok; a ty, panie Wojciechu, nie błąkaj się próżniacząc po puszczach, ale ruszaj do domu, przeproś gospodarza i pracuj poczciwie na chleb, a wilcy nie będą się ciebie upominali o skórę. [Ztąd nauka, że swawola prowadzi do niebezpieczństwa.] *Kazimierz z pod Dobromila.*

Sprostowanie. W N. 12 podpis: Stanisław Krakowczyk zamiast na str. 183 winien być na stronie 186.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza